

po godzinach

Wędrowanie pozostanie Mjanma (Birma) Część II. Ludzie i przyroda

Gdy czytałem o Mjanmarze, przygotowując się do podróży, natrafiłem na wiele krytycznych głosów internautów i globtroterów, odnoszących się do jeziora Inle. Zastanawiało mnie to. Większość piszących uznała kulturę ludów zamieszkujących teren wokół jeziora za komercyjną, nastawioną na masową turystykę, nieautentyczną. Pominięcie jeziora, a taką decyzję rozważałem, byłoby jednak jednym z większych błędów, jakie popełniłbym w podróżowaniu po świecie.



Targ w wiosce nad brzegiem jeziora. Kobieta sprzedaje woreczek herbaty.



Drobne prace gospodarskie w wiosce w rejonie Kalaw.



Kanały i odnogi jeziora Inle. Charakterystyczne mostki i zadania umożliwiają mieszkańcom przejście do wybranych sektorów wioski. Widoczna na zdjęciu konstrukcja prowadzi do zakładu tkackiego.

Pamiętam, jak pociąg zbliżał się do miasteczka Shwenyaung. Trasa kolejowa położona w górach jest jedną z bardziej wymagających. Pociąg sunął powoli, okalając zbocza i przekraczając dziesiątki rozrzuconych nad dolinami mostów.

W drodze do serca kraju
Ludzie w pociągu nie mogli być bardziej autentyczni. Transportowali towar, prawdopodobnie na któryś z targów w okolicy jeziora. Wśród pakunków, klatek, siatek można było dostrzec wszystko, łącznie z żywym drobiem, pędami roślin. Wsiadłem z tymi ludźmi do wagonu drugiej klasy, zapominając nawet, że mój bilet był wystawiony na pierwszą.

Kilkgodzinną podróż z miasta Kalaw nie ciążyła, choć wagon nie miał zbyt wielu udogodnień. Drewniane przyce, puste okiennice, w których chyba nigdy nie było szyb, sklepienie wyściełane dyktą. W wagonie panował półmrok, ponieważ zbocza i doliny, które przemierzaliśmy, były słabo oświetlone promieniami słońca. Jakaś matka otuliła swoje dziecko kilkoma kocami. Na wolnym miejscu obok mnie rozmieściła towar, pytając o zgodę ruchem głowy.

Czy moi współtowarzysze należeli do plemienia Intha — ludzi jeziora,

którzy tworzyli osadnictwo na tym terenie ponad 1000 lat temu? Nie wiedziałem tego i o to nie pytałem. Zresztą, gdybym nawet pytał, szanse na rozmowę z kinkolwiek w przedziale były nikłe.

Czułem, że pociąg zbliża się do tajemniczego miejsca Mjanmaru, może nawet serca tego kraju. Wszyscy w przedziale byli przejeździ, także tubylcy, przemierzający tę trasę z pewnością częściej niż ja. Siedząc w wagonie, zastanawiałem się, dlaczego nie idę. Malownicza trasa z Kalaw do Shwenyaung kusi także piechurów. Ktoś, kto ulegnie jej czarowi, musi jednak wiedzieć, że nie dojdzie do Inle wcześniej niż po 3 dniach.

Gościnne Kalaw
Wjazd na płaskowyż stopniował emocje. Samo Kalaw podobało mi się. Jeśli w ogóle można mówić o miejscowościach wypoczynkowych w Birmie, Kalaw mógłby być jedną z nich. Gdy tam przybyłem z dusznego, zakurzonego Pagani, poczułem się jakbym wszedł do sanatorium: asfaltowe drogi, ściana lasu, czyste, rześkie powietrze. Pensjonat, w którym się zatrzymałem, znajdował się w połowie górskiego wznesienia, na drodze wyjazdowej z miasta. Prowadzony był przez rodzinę z plemienia Szanów.

Gospodarze przywitani mnie serdecznie. Powiedzieli, że w Kalaw każdy przybysz czuje się dobrze, a mieszkańcy słyną z życzliwości. Zachęcili mnie jednocześnie do wędrowek po wioskach i miasteczkach w okolicy. Przyjąłem zaproszenie. Dałem się nawet zawieźć przez umówionego przewodnika gospodarzy sąsiada. Spędziłem w okolicach Kalaw prawie cały dzień. Nie przejmowałem się tym, że może po mnie nie przyjechać, że nie będę miał czym wrócić do miasta. Staralemsię nacieszyć oczy górami, polechtać nozdrza chłodnym powietrzem.

Cho chwila ktoś czesował mnie herbatą, zapraszał do domu, świetlicy, szkoły. Nie było w ich zachowaniu nic nachalnego, nie nastawionego merkantylnie. Herbatą, którą tego dnia piliem litrami, dosłownie się smakiem do okolicy. Pochodziła zresztą z okolicznych pól tarasowych. Życie wielu wiosek nie zmieniło się od stuleci.

Zadoleni z życia
— Jak to jest — pytałem — nie ma u was emigracji do dużego miasta? Przecież życie tutaj jest trudne, często bez bieżącej wody, elektryczności? — Nie ma potrzeby emigrować — odpowiedział z pewną dozą opiekuńczości nauczyciel z miejscowej szkoły ulokowanej w kolorowym jak tęcza

budynku. — Cieszymy się z tego, co mamy. Jeśli czegoś nie ma, pojawi się. Afirmacja typowa dla wielbiciela buddyzmu — pomyślałem.

— Wszystko się zmienia — dodał. — Są programy pomocowe. Ten teren jest dla rządu jednym z ważniejszych, a my na tym korzystamy. Rząd ma świadomość, że musi poprawić warunki życia. Przekonałby się pan — kontynuował — jak wiele zmienia się w rejonie Kalaw, gdyby pan więcej czasu spędził w tej okolicy. Nie chce pan iść nad jezioro?

— Kusi mnie taka wędrowka. Teraz jednak nie mogę sobie na nią pozwolić. Może następnym razem — odpowiedziałem.

— Proszę tylko nie przyjeżdżać w porze deszczowej — zaznaczył. — Deszcz zalewa wtedy wszystko. Ale tak musi być. Przyroda potrzebuje się nasycić. Monsun przecież nie tylko temu służy, żeby umęczyć ludzi. Służy przyrodzie.

Wszyscy jadą do Nyaungshwe
Miasteczka Shwenyaung i Nyaungshwe leżą już bardzo blisko jeziora. Od początku miałem kłopoty z zapamiętaniem ich nazw. Dlaczego brzmią tak podobnie? Koszmar dla turystów. Pod względem praktycznym różnica jednak była istotna.

W Shwenyaungu znajdowała się stacja kolejki, gdzie wysiadłem. Zanim się obejrzałem, mój plecak leżał w bagażniku jakiegoś samochodu. Po chwili już jechaliśmy.

— Zaraz, zaraz, skąd pan wie, dokąd jedziemy? — zapytałem.

— Wszyscy przecież jadą do Nyaungshwe — odpowiedział kierowca. — Na pewno ma pan tam zarezerwowany hotel.

Tak było w istocie. Zanim jednak dotarliśmy do hotelu, kierowca zatrzymał samochód przy dobrze oświetlonym budynku, mniej więcej w połowie drogi. Mimo późnej pory, stanowisko opłatać za wstęp do strefy Inle było czynne. Wpłata 10 dolarów i wydrukowanie biletu trwało chwilę. Gdyby nie to, zrobiłby się w tym miejscu zator. Taksówki, wynajęte samochody zwoziły setki turystów.

— Żaden taksówkarz nie wjedzie do miasteczka bez zatrzymania się tutaj — wyjaśnił kierowca. — Wszyscy muszą wykupić bilet wstępu: pasażerowie samolotu, pociągu, autobusu.

— Pewnie piechurzy też — dodałem.

— Oczywiście. Dla rządu to sprawa priorytetowa. I nie mały przecież dochód.

— Wiem. W Paganie było tak samo. Umiecie zarabiac na turystyce — zaznaczyłem.



Autor reportażu prof. dr hab. n. med. Mirosław Kowalski jest zastępcą kierownika Kliniki Wad Wrodzonych Serca Instytutu Kardiologii w Warszawie. Poza kardiologią ma jeszcze wiele pasji. Autor wystawy fotograficznej „Iran — spokojne spojrzenie” w Muzeum Ziemi Polskiej Akademii Nauk oraz książki „Szkatulka pełna Sahelu — subsaharyjska ballada” o kulturach Afryki subsaharyjskiej. Pasjonuje go również muzyka klasyczna. Jest absolwentem Szkoły Muzycznej I stopnia. Gra na fortepianie.



W wielu miejscach wokół jeziora funkcjonują manufaktury. Przedstawiona na zdjęciu zajmuje się produkcją łodzi.



Wioska na jeziorze Inle. Mieszkańcy przemieszczają się na łodziach. Do domów na palach wbitych w dno jeziora doprowadzona jest elektryczność.



Zachód słońca na jeziorze Inle. Wędkarze zarzucają sieci, chcąc wzbogacić dzienny połów. Najprawdopodobniej widoczny na zdjęciu wędkarz należy do grupy etnicznej Intha, słynącej z owijania nogi wokół wiosła.

Nyaungshwe nie różniło się od dziesiątków miejscowości turystycznych, jakie poznałem na świecie. Kilka krzyżujących się ulic, agencje turystyczne, restauracje. Mimo że minęła już godzina 22, większość obiektów była otwarta. Nie miałem najmniejszego problemu z wynajęciem łodzi na następny dzień. Pytano mnie tylko, do ilu miejscowości chcę popłynąć, jakie targi i klasztory chcę zobaczyć. W każdym biurze, poza wentylatorem pracującym na najwyższych obrotach, wisiała jeszcze mapa okolicy ułatwiająca odpowiedź.

Cywilizacja nad jeziorem
Nie mogłem się nadziwić, że jezioro, niezbyt duże i niezbyt szerokie, przyciągnęło tak osobliwą kulturę. Położone jest na wysokości około 1000 m n.p.m. Żeby zbudować tu domy, trzeba było wbijać bambusowe pale w bagniste podłoże. W taki właśnie sposób powstała miejscowa cywilizacja. Nie dotyczyło to tylko domów mieszkalnych czy przystani, ale także klasztorów, manufaktur, placów targowych, szkół. Cóż za wysiłek! Kto zbudował te osady? To plemię Intha, niemające chyba większego znaczenia w krajoznictwie społecznym Birmy.

Intha przywędrowali nad jezioro z południa. Ich liczbę szacuje się obecnie najwyżej na 70 tysięcy. Nad jeziorem znaleźli korzystne warunki do życia. Są niewielką grupą na zamieszkałym przez Szanów płaskowyżu. Czy charakteryzują się czymś szczególnym? Tak. Specyficznym rodzajem wioślowania. Kiedy łódź motorowa płynęła o wschodzie słońca na środek jeziora jeszcze tego

nie widziałem. Taflę jeziora przecinały dziesiątki łodzi wiozących turystów. To rejon, w którym nie ma riksza i motorowerów. Najważniejszą rolę odgrywają łodzie. Popyt na nie jest tak duży, że w okolicznych miejscowościach powstają zakłady ich produkcji. Nikt nie kontroluje liczby ani ruchu łodzi. Dzień zaczyna się i kończy warkotem silników, kaskadą jednostek płynących po głównej tafli jeziora i wielu jego odnogach. Co na to ekosystem? Nic. Milczy. Obumiera. Właściciel chyba odgadł moje myśli.

— Jezioro się kurczy. Ryb jest w nim coraz mniej. Te, który łowimy, są coraz gorsze. Ludzie boją się też pić wodę. To nie to, co dwadzieścia lat temu.

— Może turystów jest za dużo?

— Tak, turystyka niesamowicie się rozwija. Ma to dobre i złe strony. Przywoźcie pieniądze. Każdy chce na was zarobić. Ludzie otwierają restauracje, hotele. Wozimy was po jeziorze. Nie ma osoby, która by tego nie chciała. Niekiedy w wiosce pamiętają jeszcze czas izolacji. Nie było z czego żyć.

Życie na wodzie
Powoli poznaję strukturę osad. Wyłania się obraz niezwykle. Przy domach zbudowanych na palach cumują łodzie — długie drewniane łupiny, wyposażone w silnik motorowy. Pełnią funkcję zarówno jednostek osobowych, jak i towarowych, zalewając od potrzeb. Niejednokrotnie podpatrywałem rodziny wsiadające do łodzi. Pan domu schodzi z pomostu jako ostatni, odwiązuje sznur łączący łódź z zabudowaniami. W łodzi już siedzą żona i dzieci. Ciekawiło mnie jeszcze

bardziej, gdy łódź prowadziła sama kobieta — zaskakujący obraz drobnej zwykle istoty, siedzącej w najniższym punkcie. Z tego miejsca, jeśli spojrzeć z oddali, wynurza się nad taflę wody kilkumetrowej długości konstrukcja. Silnik ryczy, rozbrzyskują się fale. Oznacza to, że kobieta radzi sobie z techniką prowadzenia.

Oczywiście kobiety same nie zajmują się transportem towarów. Jeśli kurs odbywa się na któryś z okolicznych targów, ktoś znosi towar na nabrzeże, układa na dnie łodzi, pomaga w rozładunku. W łupinach przewozi się wszystko, co można sobie wyobrazić: kosze pełne pomidorów, węgiel drzewny, ryby, kanistry z benzyną.

W łodziach transportuje się również wodę pitną. Łodzie czasami są również miejscem targu. Wielokrotnie mijalem małe czółna, w których siedziały kilkunastoletnie dziewczynki. Ich łodzie nie miały silnika. Zamiast niego rozłożone były tace z rękodziełem artystycznym. Dziewczynki, gdy zauważały cudzoziemca, szybko podpyływały, wiośląc. Wyjmowały figurkę lub wielokolorową tkaninę i machały nią, próbując go zainteresować.

Najciekawsze w obszarze jeziora wydawały mi się nie główne szlaki komunikacyjne, ale liczne kanały i odgałęzienia. Napotykałem w nich łodzie wypełnione algami. Właściciele, stojąc po pas w wodzie, wydobywali zwalę zielonej rośliny, wypielając ją i tak już mocno obciążoną jednostkę. Wszędzie pachniało trawą.

Pływające ogrody
Wśród listowia, wodnych zaulków dostrzegałem okazałe domy, przypominające ukryte wille z przedmieść europejskich miast. Domy w większości nie miały okien, a jedynie otwory z wiklinowymi, bogato rzeźbionymi okiennicami. Uroku okolicy dodawały pływające ogrody. Przynałeżą do określonych posesji, jeśli to słowo w odniesieniu do zabudowań na wodzie jest właściwe.

Pływające ogrody stały się popularnym miejscem uprawy warzyw i owoców w obszarze Inle. Wprowadzono taką formę uprawy w końcu lat 60. XX wieku. Ogrodów jest obecnie coraz więcej. By je stworzyć, wykorzystuje się butwiejące części roślin i układa na bambusowych kijach. Konstrukcję przymocowuje się do dna jeziora za pomocą długich tyczek, a poletka obsypuje ziemią. Ogrody mają swoje grządki i miejsca wolne, gdzie można

podpłynąć, coś zebrać, poprawić. W ogrodach można sadzić dowolne nasiona, nawet kwiaty.

Poza pożytkiem dla ich właścicieli, ogrody są też zagrożeniem. Hodowane pomidory opryskiwane są pestycydami. Uprawa rodzi tony nieczystości. Wszystko, co złe dostaje się do wody. Nikt nad tym nie panuje. Płytkie z natury jezioro staje się jeszcze płytsze. Pędy roślin dotykają podłoża, woda wyparowuje. Być może w ciągu kolejnych 20-30 lat jezioro Inle zniknie z mapy świata, jak zniknęło jezioro Aralskie. To zły scenariusz, ale prawdopodobny, chyba że ruchy proekologiczne nasilą się i uratują akwen.

Do pracy przez mostek
Cywilizacja Inle to także liczne manufaktury. Mój przewoźnik często zatrzymuje łódź. Wchodzę po schodkach na wysokość pierwszego, drugiego piętra. Do przejścia służą przerzucone nad kanałami mostki, prymitywne klatki schodowe. Każdemu zakładowi zależy, żeby zajął nad niego cudzoziemiec, obejrzał stare krosno, warsztat do produkcji łodzi, wyrobu cygar.

Uświadamiam sobie, że to przecież zwykły dzień pracy. Z poziomu jeziora nie widać tych zakładów. Nie słychać nawet dobywających się ze środka dźwięków: kucia metalu, walenia młotów, stukotu prasy tkackiej. Zakłady służą nie tylko społeczności Inle. Asortyment wyrobów jest szeroki, ale ich jakość niska, a warunki pracy przegnbiające.

Powroty zaczynają się zwykle wraz z zachodem słońca. Rano jednostki rozdzielają się w okolicach Nyaungshwe, pod wieczór wszystkie zmierzają do

prof. dr hab. n. med. Mirosław Kowalski

Społeczność wiosek leżących wokół jeziora zajmuje się głównie hodowlą warzyw i owoców. Produkty żywnościowe sprzedawane są na licznych targach organizowanych niemal codziennie.